

*Ocalić od zapomnienia –
Okupacja we wspomnieniach rodzinnych*

Dnia 1 września 1939 roku mieszkańców Opalenicy obudził ryk syren. Wojska niemieckie wkroczyły do Polski. Niebo przecinały śmigłowce, rozległ się świst i huk... spadła bomba. Uderzyła ona w dworzec kolejowy, dokładnie w pociąg ewakuacyjny. Wielu mieszkańców zginęło lub zostało wywiezionych. Mam ogromne szczęście, że nie stało się tak w przypadku moich pradiadków – Wandy i Wiktora Leraczyków. Osoby takie jak one dla



Wanda i Wiktor Leraczyk

mojego pokolenia są największym skarbem. Niestety nie zawsze to doceniamy. Tacy ludzie to najlepsze źródło historyczne, mimo że nie podadzą nam żadnych konkretnych liczb, nie dowiemy się od nich ilu ludzi dokładnie zginęło, nie dowiemy się o najważniejszych walkach, nie opowiedzą nam dokładnego przebiegu wojny... Dowiemy się natomiast co czuli

zwykli cywile podczas okupacji. Żaden historyk nie opowie nam niczego bardziej fascynującego o wojnie niż osoby, które same ją przeżyły. Przeprowadziłam z nimi krótki wywiad, w którym możemy dostrzec, że rzeczy dla nas tak oczywiste jak kromka chleba na śniadanie czy kolację, kiedyś były prawdziwym marzeniem...

- Ciężko jest opisać to, co się wtedy działo... Mimo że tak dużo tego było, nie wiem, od czego zacząć... – powiedziała na początku rozmowy babcia.
- Babciu, zacznij od początku... Jak to się wszystko zaczęło?
- Więc... miałam 10 lat... siedziałam w domu, razem z rodziną... Nagle usłyszeliśmy samolot, później świst, spadła bomba. Po Opalenicy rozniósł się huk. Spadła przy semaforze ... Do dziś słyszę ten głuchy huk...
- Ja mieszkałem wtedy w Poznaniu – powiedział dziadek - Nim syreny zawyły, wszyscy zakleili okna papierem na krzyż. Ja też zakleiałem, zasypałem jeszcze piachem. Mieszkałem na Jackowskiego. Gdy zawyły syreny, byłem z ojcem niedaleko domu. Zdążył tylko powiedzieć do mnie: „uciekamy” i pobiegliśmy do domu... Usłyszeliśmy świst bomby. Mieszkaliśmy naprzeciwko kliniki położniczej na Jackowskiego 37. Bomba spadła na ul. Krasińskiego, był tam zakład, który zajmował się produkcją obuwia i mundurów. Gdy spadła, okno wyleciało, a do kamienicy wpadł piach. Mieszkaliśmy na parterze, sąsiedzi z 4 piętra zbiegli do nas, całe ich mieszkanie runęło, nic z niego nie zostało. Wszystkie szyby wyleciały. Uciekliśmy z rodzicami. Wzięliśmy z domu tylko pierzyny i najważniejsze rzeczy i na rower. Pchaliśmy rower do schronu aż na Grunwaldzką. Zostaliśmy tam 3 dni. Gdy sytuacja się uspokoiła, wróciliśmy do domu, po ulicach maszerowało już wojsko niemieckie. Nie chodzili blisko siebie. Zachowywali równe odstępki – opowiadał dziadek.

Na pierwszym zdjęciu niemiecka karta podatku od wynagrodzenia mojej babci z nazwą Opalenicy podczas okupacji.

Niżej książka pracy także mojej babci.

- Jako dziecko, razem z dziećmi z okolicy staliśmy przy torach i czekaliśmy aż pojedzie pociąg z niemieckimi żołnierzami. Staliśmy w rowie, pełno było wody. Gdy przejeżdżali, rzucali nam chleb. Często wpadał do wody, wyciągaliśmy go, nie można było zmarnować ani okruszka. Był dla nas cenniejszy niż złoto. Mając 12 albo 13 lat, byłam oddalona od domu o 20 kilometrów. Mieszkałam w domu rodziny niemieckiej. Byłam ich gosposią. Codziennie musiałam paść krowy, mieli gospodarstwo... Moja mama raz przyszła pieszo do Granowa, tam właśnie mieszkali... Przyszła mnie odwiedzić, szarpała się z Niemką, chciała mnie zabrać z powrotem do domu, ale nie puścili mnie. Po pół roku wróciłam i przeniosłam się do innej rodziny. Była tam czwórka dzieci, rodzice i dziadkowie. Codziennie musiałam sprzątać, gotować, szorować podłogi, były drewniane, bardzo długo je czyściłam. 3 razy w miesiącu o 4 rano razem z tą Niemką musiałam pracować przy bieliznie. Musiałam obsługiwać 8 osób. Niemka powiedziała „Wanda! Klößchen będą!“ i musiałam robić kluski dla 8 osób – opowiadała dalej babcia.
- Pracowałam u Zawady, za Śródką, jako pomocnik na budowie, robiłem zakupy, kawę parzyłem... Pracowałem potem tam jako ślusarz, tam wyuczyłem się fachu.

Familiennamen und Vorname **N a j d e k, Wanda**, geb. am **23.7.1929**

Stand, Beruf **Hausgehilfin**

Wohnsitz **Oppenbach, Karlswiese**

Wohnung **Oppenbach**

Kr. Grätz (Geburtsort, Kreis, Amt)

Pol. (Staatsangehörigkeit) **Pol.** (Volkszugehörigkeit)

I. Steuergruppe u. Familienstand
 a) Steuergruppe **eins**
 b) Ledig, verheiratet, verwitwet oder geschieden
 c) Kinderermäßig. I. minderjähr. Haushaltzugeh. Personen

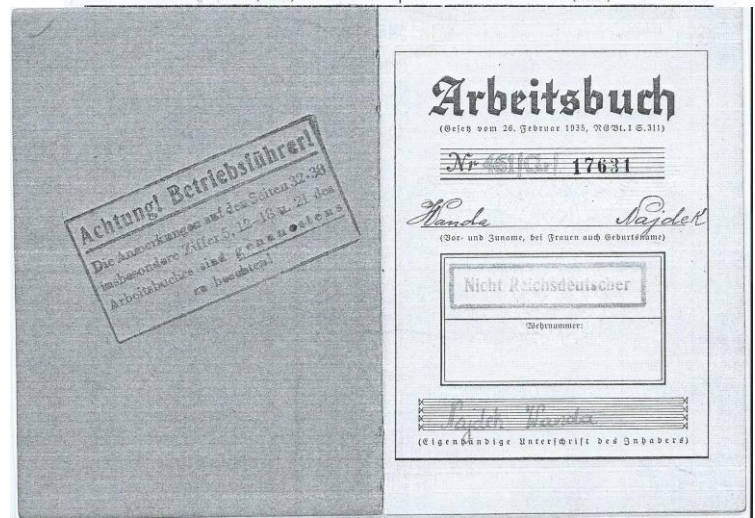
II. Sozialausgleichsabgabepflichtig (ja oder nein) **ja**

Farbe des Volkstumsausweises
 a) des Arbeitnehmers
 b) der Ehefrau

Der Amtsvorsteher des Ausweises **Oppenbach**
 (Oppenbach, Kreis Grätz, die die (Name) (Geburtsort, Kreis, Amt) unterschreibt)

III. Raum für die Berichtigung oder Ergänzung der Eintragungen in den Abschnitten I und II, für die Eintragung weiterer Kinderermäßigungen und für andere Eintragungen, soweit sie nicht in den Abschnitt IV gehören

Diese Eintragung gilt ab 194... bis 194..., wenn sie nicht widerrufen wird. (Stempel) 194... (Name)	Diese Eintragung gilt ab 194... bis 194..., wenn sie nicht widerrufen wird. (Stempel) 194... (Name)
Diese Eintragung gilt ab 194... bis 194..., wenn sie nicht widerrufen wird. (Stempel) 194... (Name)	Diese Eintragung gilt ab 194... bis 194..., wenn sie nicht widerrufen wird. (Stempel) 194... (Name)



Nie było wtedy chleba. Do pracy mama robiła kluski ziemniaczane albo podsmażane ziemniaki, pakowała i jedliśmy. A jakim rarytasem były placki z marchwi! Nie było zbyt dużo pieniędzy, więc nie było nas na to stać... Ale gdy tylko nadarzyła się okazja, mama przygotowywała je na obiad.

Kiedyś przy budowie na której pracowałem szedł tramwaj. Jechał bardzo wolno zawsze to żeśmy z kolegami wyskakiwali z niego do pracy. A policja kiwała tylko do takich amantów i do mnie też kiwnęła. Jakoś się dogadałem i w niedzielę rano miałem przyjść na komisariat rowery czyścić. Jak wszedłem to się przeraziłem tego rzędu rowerów! Myślałem, że tego nigdy nie wyczyszczę, ale była to akurat mało surowa kara...

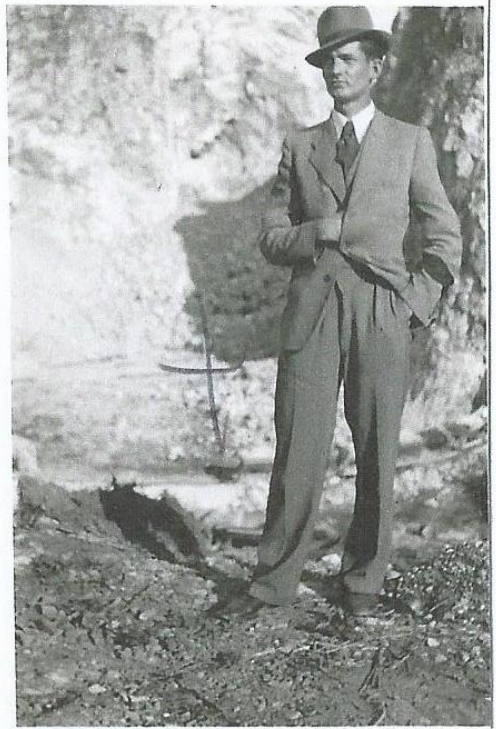
Podczas okupacji wielu młodych ludzi wysyłano na roboty do Niemiec, do fabryk. Tych, którzy zostali posyłani do pomocy tutejszym Niemcom – mówił dziadek.

- Żywność sprzedawano na kartki, buty musieliśmy nosić na drzewie, nie na podeszwie gumowej jak Niemcy, ale na drzewie. U tych Niemców, u których pracowałem w piwnicy, była wielka beczka a w niej słonina. Wzięłam sierp, wzięłam kawał słoniny i odciąłem, chciałam zrobić prezent mamie. Ukryłam pod schodami i w siatkę zawinęłam. Jak wracałam do domu to schowałam ją pod bluzkę, żeby mamie dać – wtrąciła babcia.
- Jak już Rosjanie wkroczyli do Polski, a Niemcy uciekli, z kumplami wzięliśmy wory i poszliśmy na cytadelę. Mieli tam magazyny żywności. Były tam małe okienka strzelnicze i do tych okienek drabiny ustawiali. Jedni wchodzili a drudzy w ten sam czas schodzili. Ja wziąłem cały worek grochu, ale jak wracałem to Straż Obywatelska z biało-czerwonymi opaskami na ramionach mi to zabrała. Pewnie dla siebie brali... – opowiadał dziadek.
- W Opalenicy w cukrowni były niemieckie magazyny z żywnością, w puszkach było tam pełno jedzenia, ale jak uciekali, to wszystko popalili...
Jak tylko usłyszałam syreny w 45 roku to wybiegłam na dwór i się schowałam, bałam się że mnie wezmą ze sobą do Niemiec. Rano już ich nie było. Zostało po nich tylko 5 świń. Wujek przyjechał, wziął jedną, zabił i zawiózł na kolację, dawno się tak nie najedliśmy. Wkroczyli Rosjanie, wszyscy ich witali, otwierali domy, zapraszali, gościli ich, częstowali, czym mogli... – mówiła babcia.
- Po wyzwoleniu na ulicy zastrzelili konia. Moja mama wybiegła na ulicę z nożem, by wykroić tylną szynkę. Wszyscy się zbiegli. Mama wykroiła taki duży kawałek, wszyscy się tym najedliśmy. Nie było co jeść, taka kolacja była więc czymś niesamowitym - wtrącił dziadek.
- Dzieci nie chodziły do szkoły wtedy. Wszystko trzeba było nadrabiać po wojnie. Wszystkie klasy powtarzać. Chodziliśmy jeszcze przez pół roku od rozpoczęcia wojny, uczyliśmy się „*der, die, das – on, ona, ono. Okno, drzwi, ściana...*” i to wszystko po niemiecku... uczyliśmy się, by móc się porozumieć...
Miałam szczęście, że trafiłam na taką dobrą niemiecką rodzinę... szanowali mnie, traktowali jak rodzinę... byli to bardzo dobrzy ludzie i mimo że było ciężko, czułam się u nich dobrze, miałam bardzo dobrą sytuację w czasie wojny...
- Nikomu nie życzę łaknienia chleba... Teraz się nie szanuje chleba... wyrzuca się chleb. My szanowaliśmy. Każdy kęs był na wagę złota. Jedliśmy go z umiarem, nie żeby się najeść, ale żeby zaspokoić głód.

- Mój brat na koniec wojny został postrzelony. Był wtedy w mieście Ulm, w Niemczech. Jeszcze żywego przewieźli do kostnicy. Tam odwiedził go jego kolega. Stachu nadal wtedy żył. Żałowałam, że nie mogłam go zobaczyć przed śmiercią, że nie wrócił do nas żywy... Umarł w kostnicy, choć mógł z tego wyjść i jeszcze długo żyć...

Nie są to oczywiście wszystkie wspomnienia moich dziadków... Czas robi swoje... Dlatego tak ważne są dla mnie rozmowy z nimi, wspomnianie i ocalenie od zapomnienia.

Wiem, że moi pradziadkowie znaleźli się, jak na te czasy, w bardzo dobrej sytuacji. Mieli pracę, babcia bardzo miłych ludzi wokół siebie, dziadek nauczył się zawodu. Często spotykamy się z opowieściami o ludziach, którzy polegli podczas wojny. Mam wielkie szczęście, że moi dziadkowie są nadal ze mną. Mój dziadek w tym roku skończył 90 lat, babcia 86 lat. Mam ogromne szczęście że, dziadkowie mogą przekazać mi tak wielką wiedzę, którą będę mogła przekazywać swoim dzieciom i wnukom.



Stanisław Najdek – brat mojej prababci